Pobudka
TYGODNIK

W NUMERZE:
* Imperializm przed sądem
* Za graniczną miedzą
* Za kulisami redakcji

Łódź, dnia 8 czerwca 1947 r.
Rok III. Nr 23
CENA 5 ZŁ.

Akcja doraźna i długofalowa w zwalczaniu spekulacji

Spekulacja to dziecko ciężkich materialnie okresów wojennych i powojennych. Rodzi się ona zawsze w warunkach głodu towarowego. Nieuczciwi kupcy gromadzą produkty żywnościowe i inne i tak regulują podaż, aby osiągać możliwie najwyższe zyski, nie licząc się zupełnie z możliwościami konsumenta.

Spekulacja tak bardzo rozpanoszyła się po ostatniej wojnie, że niektóre rządy były bezradne wobec tego groźnego zjawiska i skłaniały się do zaniechania jakiejkolwiek akcji zapobiegawczej. Próbowano nawet wysuwać opinie, iż spekulacja jest niemożliwa do zwalczenia. Rząd nasz prowadzi systematyczną walkę z wielkim złem czasów powojennych. Walka ta posiadała różne natężenia, nie potrafiła jednak dotychczas usunąć całkowicie przyczyn spekulacji.

Ostatnio zdecydowano przystąpić do generalnej ofensywy, ponieważ wzrost cen pogarszał niemal z dnia na dzień, sytuację materialną człowieka pracy. Do obradującego obecnie Sejmu wniesiony został rządowy projekt ustawy o walce ze spekulacją i zwyżką cen. W prasie ożywiła się dyskusja na tematy gospodarcze, poszczególne partie i stronnictwa polityczne ustaliły poglądy i wysunęły własne zalecenia.

Dotychczasowy plon tej akcji jest stosunkowo obfity. Zdecydowano się ustalić ceny najważniejszych artykułów, oraz surowymi karami zapobiegać praktykom spekulacyjnym. Są to doraźne środki zaradcze. Istnienie ich jest konieczne, ale — jak słusznie stwierdził w Sejmie w imieniu ZPPS. tow. Szwalbe — nie usuną one całkowicie zła. Spekulacja wyrasta na podłożu głodu towarowego i może być zwalczona ostatecznie tylko przez nasycenie rynku, przez wyrównanie zachwianej równowagi między podażą i popytem. Decydującą rolę w takich warunkach powinien odegrać przemysł. Kierownicy przemysłu muszą usprawniać jego działanie drogą podwyższania jakości i ilości wyprodukowanych towarów oraz drogą obniżania cen. W tych warunkach potrzebna jest długofalowa akcja, która by prowadziła do usprawnienia procesów produkcyjnych i likwidacji przerostów biurokratycznych w administracji.

Równolegle z usprawnieniem produkcji muszą być likwidowane nadmierne zyski kupców i w ogóle pośrednictwa, przez ustalenie marży zarobkowej. Gromadzenie w portfelu wszelkiego rodaaju pośredników, dużej ilości pieniędzy, operowanie nimi w akcji spekulacyjnej i pogłębianie przez to tendencji inflacyjnych — może być usunięte tylko drogą słusznie i celowo wymierzanych podatków, które odprowadzą właściwą ilość pieniędzy do kas skarbu państwa. Powszechnie nazywa się to likwidacją podziemia gospodarczego.

Robotnik i urzędnik dźwiga dziś na sobie nadmierny ciężar trudności powojennych. Ich wyrzeczenia są bardzo duże. Już najwyższa pora przejść do takiego podziału dochodu społecznego, który by z dnia na dzień polepszał warunki egzystencji człowieka pracy. Dobrze się stało, że dyskusja na tematy walki ze spekulacją przyczyniła się tak znacznie do uogólnień i dezyzji, które mając szeroki zasięg, dotyczą jednocześnie produkcji i pośrednictwa, że uniknięto przy tej okazji płycizn pośpiesznych decyzji, które zawsze mają jedynie doraźny charakter.

Jerzy Wolski

* * *

Był okres kiedy Polskę nazywano „sumieniem świata". Był okres, kiedy imię żołnierza polskiego wymawiane ze czcią, było symbolem walki, — walki nieugiętej i bezpardonowej. Ale kiedy ucichła zawierucha wojenna i słowo pokój, przestało być iluzją — wiele się zmieniło.

Pojęcia takie, jak: odwaga, bohaterstwo, pogarda śmierci, wierność — przeszły do rekwizytorni. Zastąpiono je innym, krótkim, prawie lapidarnym hasłem: i n t e r e s.

Dalszy bieg wypadków jest wszystkim znany. Prowokacyjne mowy Sunner Wellesa i Churchilla. Anglosascy mężowie stanu negowali nasze niezaprzeczalne prawa do Ziem Zachodnich. Blokowano polskie zapasy złota w anglosaskich bankach.

A w kraju wrzała praca.

I przyszedł okres kiedy poczęła się zmieniać nasza sytuacja na rynku światowym. Z pojęciem Polska — złączyło się drugie — w ę g i e l.

Węgiel dla walczącej z głodem paliwa Europy! Odciążenie rynku eksportowego Ameryki!

Największy dotychczasowy producent na terenie europejskim, — Anglia — żyje pod znakiem gwałtownego spadku wydobycia węgla! Maleje produkcja węgla w Zagłębiu Ruhry!

Na Śląsku WZRASTA!

W amerykańskich kołach rządowych mówi się dzisiaj o poważnej pożyczce dla Polski. Pożyczka ta będzie miała na celu podniesienie naszych możliwości produkcyjnych a co za tym idzie eksportowych.. Czego nie dokazały cierpienia milionów, ani waleczność i pogarda śmierci, (o której świat tak prędko zapomniał) — to sprawił wysiłek setek tysięcy rąk roboczych.

Świat nigdy nie umiał cenić bohaterstwa. Jedyną naprawdę wielką wartością jest twórczy wysiłek pracy. I czym więcej będziemy pracować, czym większe będą nasze osiągnięcia na polu gospodarczym, tym większym będziemy się cieszyli szacunkiem u naszych sąsiadów.

Pierwszy krok mamy poza sobą. Z biednego krewnego staliśmy się RÓWNORZĘDNYM PARTNEREM.

(Jerzy Krygier)

Przegląd PRASY

Ostatnie wydarzenia na arenie międzynarodowej zwróciły ponownie uwagę prasy światowej na politykę Imperium Brytyjskiego.

„Życie codzienne w Londynie, i w całej Anglii, jest aktualnie o wiele trudniejsze niż było w okresie minionej wojny — pisze „La Semaine dans le Monde" — „Wielka Brytania — kontynuuje tygodnik francuski — przesunęła linie graniczne swego imperium bardziej ku zachodowi, opuszczając Pacyfik. Wysuniętymi punktami imperium nie są już Kong-Hong, czy Singapoor — lecz Afrykańska Kenia i Tanganika

„Rodzina królewska udała się do Afryki — pisze Lipman w „New Jork Herald Tribune" — nie poto, aby uniknąć nieprzyjemnej zimy angielskiej, lecz dla zapoczątkowania i podkreślenia zmiany w strukturze i strategii imperialnych. Wycofanie się Wielkiej Brytanii z Grecji, Turcji, Egiptu i Palestyny nie oznacza jednak — zdaniem Lipmana — że Anglia godzi się na przyjęcie roli młodszego brata USA. Przesunięcie punktu ciężkości imperium do Południowej Afryki, kraju o niezmierzonych i niewykorzystanych bogactwach — pozwoli Wielkiej Brytanii mimo likwidacji posiadłości w Indiach i na Bliskim Wchodzie — pozostać niezależnym, wielkim mocarstwem".

Odmienne stanowisko zajmuje „La Tribune des Nations". Wskazując przemiany, jakie dokonywują się w Wielkiej Brytanii i rolę jaką w nich odgrywają Stany Zjednoczone, przejmujące tereny dotychczasowych wpływów brytyjskich, wyraża pogląd że:

„Decydująca walka o niezależność Anglii (w stosunku do USA) toczy się przedewszystkiem na odcinku ekonomicznym. Ta walka, absorbująca całą administrację, toczy się o każdy pożyczony ze Stanów Zjednoczonych dolar, o uniezależnienie się gospodarcze. Tym się tłumaczy dążenie rządu do nawiązania ściślejszych stosunków ekonomicznych z Europą.

„Wielu komentatorów politycznych, nawiązując do ostatniej deklaracji Bevina — kontynuuje tygodnik — wyraża opinię, że normalizacja w stosunkach polsko-brytyjskich i rozmowy radziecko-brytyjskie — oznaczają wyraźny zwrot w polityce zagranicznej Londynu".

Ale — zapytuje w końcu „La Tribune" — czy i w jakim stopniu zmiana ta mimo bezspornie pozytywnego charakteru, oznacza rzeczywistą i trwałą ewolucję polityki-brytyjskiej.

Odpowiedź na postawione pytania pozostawia jenak pismo przyszłości.

(W.P.)

Polityka i życie
w zwierciadle tygodnia

Oczy całego świata zwrócone były w ubiegłym tygodniu na małą miejscowość nad Kanałem La Manche, w której rząd brytyjski odbywał publiczny rachunek sumienia wobec pełnomocników rządzącej w Anglii partii socjalistycznej.

Obiektywnie biorąc, rządząca grupa Labour Party wyszła z Margate zwycięsko. Min. Bevin zdobył sobie całkowity aplauz dla swej polityki zagranicznej. Ale bynajmniej nie dla tej z przed roku, wyłożonej w słynnej broszurze „Karty na stół", bowiem nowa egzekutywa Partii, już w obliczu swego zwycięstwa, wyparła się za tę broszurę odpowiedzialności. Natomiast nowa polityka Bevina, polityka zbliżenia i zacieśnienia stosunków z Polską i Związkiem Radzieckim, zdobyła sobie uznanie konferencji i rozbroiła opozycję. Świadczą o tym wypowiedzi czołowych przedstawicieli lewicy partyjnej: Grosmana, Micardo, Zilliacusa, Driberga i innych. Podkreślili oni, że opozycja przyjęła do wiadomości, iż zwrot w polityce Bevina wobec Polski i ZSRR, nie jest koniunkturalnym posunięciem taktycznym wobec opozycji, ale zjawiskiem trwałym. Trzeba więc uznać, że taka właśnie polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii została zaakceptowana w Margate.

* * *

Drugim wydarzeniem tygodnia, wydarzeniem „wielkiego kalibru" jest ofensywa polityczna USA. Wystąpienie Hoovera na rzecz odrębnego pokoju z Niemcami i Japonią, pod hasłem nieograniczonej odbudowy gospodarczej tych byłych wrogów i potencjalnych agresorów, unifikacja gospodarcza zachodnich stref okupacyjnych, pospieszne i demonstracyjne wysłanie misji wojskowej do Turcji, oferta Marshalla pod adresem Danii o odstąpienie Grenlandii na lotnicze bazy amerykańskie, — oto kilka — o ile można sądzić zsynchronizowanych — posunięć dyplomatycznych USA, które mogą wzbudzić niepokój opinii światowej, zwłaszcza wobec poprzednio zarejestrowanych nacisków dyplomacji amerykańskiej we Francji, Włoszech, Argentynie, na Bliskim Wschodzie i gdzieindziej.

Ale właśnie to nagromadzenie faktów wskazuje, że żadne z tych posunięć nie jest celem samym w sobie i nie koncentruje na sobie wysiłków dyplomacji USA. Zatem muszą one, jako zespół, mieć określony cel. Nietrudno zresztą tego się domyśleć. Jest to po prostu próba wywarcia nacisku, aby nie użyć mocniejszego określenia, na stanowisko Zw. Radzieckiego w szeregu zasadniczych problemów

Dyplomacja amerykańska, która od czasów adm. Perry'ego jeszcze niewiele się nauczyła, wyobraża sobie, iż metoda „spacerów" floty amerykańskiej ciągle jeszcze stanowi najlepszy środek „rozmiękczenia" partnera. Takiej widocznie metody w skali amerykańskiej postanowiono użyć w okresie przygotowań do jesiennej konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki. Dyplomacja amerykańska przeliczyła się jednak z faktem, że pozycja ZSRR, jako mocarstwa światowego, jest tak niewzruszona, iż niezgrabne metody amerykańskie nie potrafią jej w niczym zagrozić.

Prowadzenie hałaśliwej polityki zagranicznej przez USA przydaje się zresztą rządowi amerykańskiemu na użytek wewnętrzny. Ofensywa socjalna kapitału amerykańskiego na zdobycze robotnicze, fala strajków i wzrost cen, sygnalizują zbliżanie się w tym kraju nowej secesji gospodarczej. Można spodziewać się, że nadchodzące miesiące będą w USA najeżone poważnymi trudnościami wewnętrznymi.

* * *

Natomiast Francja narazie odparła niebezpieczeństwo, grożące jej na odcinku życia wewnętrznego. Radość degaullistów była przedwczesna. Komunistyczni przywódcy związków zawodowych (CGT) zdołali porozumieć się z rządem i umożliwili Ramadierowi pokojowe rozwiązanie zagrażającego konfliktu. Wydaje się, że jeśli de Gaulle czyha na spadek po Ramadier — to komuniści — pozostając poza rządem — asekurują ustrój republikański.

* * *

Teka premiera włoskiego, zgodnie z naszymi przewidywaniami, obiegłszy krąg szacownych, lecz bezsilnych „siwych bród', powróciła do rąk de Gasperi. Utworzenie przez niego rządu jednopartyjnego, z dodaniem „fachowców" — nie wróży trwałości temu gabinetowi. Być może, iż utrzyma się on przy władzy do chwili wyborów, które muszą przynieść zwycięstwo lewicy. Rządzenie wbrew opinii 9 milionów wyborców, którzy oddali swe głosy na listy partii robotniczych, jest absurdem. Włochy zmieniły swój ustrój polityczny, — muszą wkroczyć również na drogę reform społecznych, — a bez udziału partii robotniczych jest to nie do pomyślenia.

* * *

A teraz sensacja w stylu awanturniczym. Premier węgierski, Nagy, przedstawiciel węgierskiej partii drobnych rolników wyjechał do Szwajcarii na urlop. Dowiedziawszy się, że tymczasem w kraju ujawniono szczegóły spisku przeciw republice, spisku, któremu on sam patronował, zdecydował się ukryć przed odpowiedzialnością — za granicą. Kryzys został szybko zażegnany. Własna partia potępiła Nagy'ego i natychmiast desygnowała nowego premiera. Wypadek ten świadczy jednak o trawiącej partię chłopską chorobie intryg i konspiracji wskutek przenikania do niej elementów reakcyjnych. Partie szczerze demokratyczne, o umiarkowanych programach, powinny z doświadczenia węgierskiego wyciągnąć należyte wnioski i wzmocnić czujność wobec elementów rozkładu i nieodpowiedzialnych awantur.

Imperializm przed sądem ONZ

W połowie czerwca zbierze się Rada Bezpieczeństwa dla wysłuchania sprawozdania komisji śledczej ONZ, powołanej dla zbadania sytuacji, wywołanej wojną domową w Grecji.

Z fragmentarycznych informacji, które napłynęły z Genewy, gdzie odbywało się końcowe stadium prac komisji, — wiadomo, że nie doszło do uzgodnienia pojęć między członkami komisji, tak w zakresie oceny przyczyn zamętu w Grecji, jak również w sprawie środków, jakie należy zalecić Radzie Bezpieczeństwa w celu spacyfikowania tego nieszczęsnego kraju.

Stany Zjednoczone przy poparciu W. Brytanii, Chin, Brazylii — usiłowały obciążyć winą za wrzenie w Grecji — jej sąsiadów bałkańskich, a głównie Bułgarię, Albanię i Jugosławię. Bezpodstawność tych zarzutów wykazała obszerna analiza delegacji radzieckiej.

Delegacja polska złożyła deklarację reasumującą wyniki prac komisji, stwierdzając, że przeprowadzone badania absolutnie nie dają podstaw do oskarżania sąsiadów Grecji o inspirowanie wojny domowej w Grecji. Natomiast faktycznym źródłem rewolty w Grecji jest prześladowanie greckich elementów demokratycznych, a zwłaszcza jej młodzieży, która w czasie wojny prowadziła walkę z Niemcami. Prześladowania te, stosowane z niezwykłym okrucieństwem, są dziełem rządu reprezentującego 7 partii reakcyjnych, wśród których jedna splamiła się współpracą z Niemcami podczas okupacji. Ponadto siły powstańców rosną również wskutek rasizmu antysłowiańskiego, szalejącego pod obecnymi rządami, popieranymi przez USA.

Tak się przedstawia w największym skrócie stan faktyczny sprawy greckiej, badanej przez komisję ONZ. Stanowisko, zajęte przez delegację amerykańską w tej sprawie nikogo nie zdziwi w świetle ostatnich posunięć Trumana, a zwłaszcza jego dolarowej polityki w Grecji. Trudno się również spodziewać, aby Rada Bezpieczeństwa zdołała powziąć zgodne decyzje, któreby umożliwiły zakończenie przelewu krwi w Grecji, bowiem na to trzeba jednomyślności Wielkiej Piątki w Radzie Bezpieczeństwa, jednomyślności, której właśnie nie ma.

Mimo to, należy uważać, iż dyskusja w Radzie Bezpieczeństwa na temat sprawy greckiej może przynieść korzyści sprawie pokoju światowego i ulżyć niedoli ludu greckiego. Publiczne bowiem, na oczach całego świata, roztrząsanie przyczyn bratobójczej wojny w Grecji musi wyjawić wszystkie kręte drogi, jakimi imperializm amerykański, który dorwał się do władzy w St. Zjednoczonych, wywołuje zamieszanie w krajach, które upatrzył sobie, jako wygodne pozycje strategiczne. Opinia publiczna całego świata będzie mogła się przekonać kto szerzy niepokój w świecie, utrzymuje niepewność w stosunkach międzynarodowych, wywołuje i podsyca ogniska zapalne przyszłych konfliktów.

I chociaż imperialiści amerykańscy są bardzo ufni w moc swej propagandy, wierząc, iż wystarczy opanować przez koncerny kapitalistyczne prasę i radio, — może się zdarzyć, iż napór wolnej i demokratycznej opinii światowej okaże się silniejszy, niż kasy pancerne Wall Street.

Albowiem sprawy wolności i sprawiedliwości już dziś nie da się ukryć nawet pod korcem dolarów.

J. Winnicki

Nasz KOMENTARZ

Dwa wydarzenia na terenie międzynarodowym, które rozegrały się w ostatnich dniach, aczkolwiek nie związane ze sobą bezpośrenio — ujawniły cechy, które wskazują na rękę tego samego reżysera. Mamy na myśli wypadki na Węgrzech i we Włoszech. Przed kilkoma tygodniami świat został zaalarmowany depeszą z N. Jorku, według której min. Marschall „wyrywając sobie włosy z głowy", zaczął zaklinać senat amerykański, aby ten nie hańbił dobrego imienia Stanów odmową ratyfikacji traktatu pokojowego z Włochami, uzgodnionego już przedtem na licznych konferencjach międzynarodowych przez dyplomację amerykańską. Ta „groźba". która nagle zawisła nad Włochami — bardzo szybko „rozszyfrowała się", gdy de Gasperi nieoczekiwanie, nie mając ku temu bezpośredniego powodu, podał się do dymisji i sprowokował długotrwałe przesilenie rządowe zakończone utworzeniem rządu z wyeliminowaniem partii lewicowych. Marschall „odetchnął.."

Druga impreza amerykańska w Europie powiodła się gorzej.

Premier Węgier, Nagy, wdał się wprawdzie z obcymi agenturami w konszachty, roztoczył wprawdzie opiekę nad spiskiem zawiązanym na Węgrzech celem obalenia ustroju republikańskiego — ale coś widocznie w reżyserii zawiodło. Nagy — w obawie przed zdemaskowaniem, zawczasu wyemigrował zagranicę i w chwili, gdy „bomba pękła", — poprostu telefonicznie zrzekł się swego urzędu.

Rzecznik amerykańskiego departamentu stanu bezzwłocznie oświadczył, że dalsze kredyty w sumie 30 mil. dolarów zostają dla Węgier wstrzymane „do czasu wyjaśnienia" sytuacji.

Natomiast na taką samą sumę rząd amerykański jednocześnie otworzył kredyt dla Iranu, którego premier wykazał należyte „zrozumienie i wierność dla zasad demokrcji", gdyż od kilku tygodni.. wiesza i rozstrzeliwuje demokratów.

Widocznie dla departamentu stanu takie metody „wyjaśniają sytuację".

Te dwa wydarzenia rzeczywiście „wyjaśniają sytuację".

Reżyser okazał się tak niezgrabny, iż widzowie w pierwszych rzędach mogą doskonale dostrzec zakulisową maszynerię, przy pomocy której reakcyjne sfery amerykańskie usiłują zwasalizować i podporządkować sobie różne narody europejskie. Otwieranie i zamykanie dolarowej książeczki czekowej stanowi siłę popędową tej maszynerii...

(j.w.)

Z dziejów i teorii socjalizmu

(ciąg dalszy V)

Francja jest zresztą ojczyzną nowożytnych zamachów, posługujących się bombami. Wystarczy przypomnieć zamachy na Bonapartego 24 grudnia 1800 i na Ludwika Filipa 28 lipca 1835, przy których zastosowano nowożytną technikę fabrykacji bomb, choć jeszcze zgoła nieudoskonaloną.

Proletariat wstępuje na barykady. Odmiennie niż w innych krajach rewolucja 1848 r. jest we Francji przeważnie proletariacka. Rewolucja lutowa zakończyła się wydelegowaniem 2-ch robotników (Ludwika Blanc i Alberta) do Rządu Tymczasowego. Rozprawy w Luksemburgu toczą się w znacznej części na temat żądań robotniczych. Założenie i zwinięcie warsztatów narodowych budzi największe zainteresowanie. Potem przychodzi do rewolucji lipcowej, największej walki ulicznej, jaką stoczył proletariat. I wreszcie powstaje on w 1871 r. jeszcze raz, aby sobie wywalczyć „swoje prawa" w otwartej rewolucji. Powstanie Komuny Paryskiej przypada w owym czasie, kiedy w Anglii milion zorganizowanych robotników na kongresach zawodowych trzeźwo i praktycznie obraduje nad drobnymi zagadnieniami swych codziennych potrzeb. Zamyka ono okres tajnych spisków i gwałtownych rozruchów we Francji.

„Francja jest awangardą rewolucji — powiedział Krapotkin — jeżeli naród francuski jest rewolucyjny, pochodzi to właśnie stąd, że urządził on tak wiele rewolucji, potępionych przez doktrynerów i ograniczone mózgi".

Jakimi zatym pierwiastkami zasilą odrębne właściwości ruchu francuskiego ogólny ruch społeczny, jaki udział przypadnie Francji w wielkiej emancypacyjnej walce proletariatu? Z punktu widzenia socjalistycznego poglądu na świat, wartością dla walki międzynarodowego proletariatu jest ożywienie go przez ducha francuskiego ruchu społecznego, jest ukazanie zmysłu i poczucia dalekich celów, polot idealizmu, zdolność do entuzjazmu i zapał.

***

W Niemczech w czasie zradzania się współczesnego ruchu społecznego tj. w 1825 r. — uprzemysłowienie było b. słabe. Miało to swoje doniosłe znaczenie, gdyż ruch ten nie nabrawszy odrazu właściwej prężności i intensywności, ulegał pewnym wpływom zewnętrznym, zamiast je swoją siłą włączać i przetwarzać we własnym nurcie.

Współczynnikiem, odgrywającym również b. doniosłe znaczenie w kształtowaniu niemieckiego ruchu społecznego jest udział wybitnych indywidualności, które zakładały niemiecką partię robotniczą, jak Lassalle i Marks.

Ruch społeczny w Niemczech ma charakter polityczny i taktykę nawskroś antyrewolucyjną. Charakter ten spotęgowany został w następstwie faktu, że nie doceniono odrazu, jako równorzędnej broni w walce o prawa klasy pracującej, organizacji związków zawodowych i spółdzielczych; przechodzi to dopiero bardzo późno. Ponadto niewielki ruch społeczny wyróżnia się jeszcze tym, że został on bardzo wcześnie opanowany przez idee Marksa i nim nasycony, oraz że kształtował się pod ich przemożnym wpływem.

W 1864 Lassalle zakłada ogólny niemiecki związek robotniczy, ale zbyt krótko w nim pracuje, aby mógł wywrzeć potęgą swojej agitacji większy wpływ na losy tego związku, z wyjątkiem zaszczepienia weń obojętności na organizowanie związków zawodowych i spółdzielczych stowarzyszeń. Zresztą i Marks nie wykazywał wówczas wielkiego zainteresowania ruchem zawodowym.

W chwili śmierci swojego założyciela, Lassalla (27 sierpnia 1864 r.), ogólny niemiecki związek robotniczy liczył 4610 członków.

W tymże samym roku, 1864, przybył do Niemiec wysłannik Marksa — Wilhelm Liebknecht, który otworzył drogę dla nowego socjalnodemokratycznego ruchu niemieckiego. Do pracy tej wiączył młodego, energicznego czeladnika tokarskiego Bebla Augusta, który był już wtedy przewodniczącym wielu robotniczych stowarzyszeń, samokształceniowych, brodzących po mieliznach postępowo-radykalnych.

Stowarzyszenia te na zjeździe w Norymberdze w 1868, gdzie reprezentowanych było 14000 robotników, postanowiły zerwać z Schulze-Delitschen i przejść pod sztandary Marksa. Uchwała, uzasadniająca to przejście, była zredagowana przez Libknechta ściśle w duchu marksizmu. W ten sposób powstała w Niemczech nowa partia socjalistyczna, która przyjęła nazwę socjal-demokratycznej.

Na zjeździe w Gotha w 1875 r. nastąpiło połączenie obydwóch kierunków Lassalla i Bebla; w ten sposób zaistniała w Niemczech tylko jedna partia socjaldemokratyczna, której główny ton nadawali marksiści.

W 1891 r. program gothajski zastąpiony został przez program erfurcki, który stanowi całą osnowę socjalizmu marksistowskiego.

Przyczyny odrębności ruchu społecznego w Niemczech tkwią nie tylko w ówczesnych stosunkach ekonomicznych Niemiec, w słabej intensywności w pierwszym stadium tego ruchu, ale przede wszystkim w sile indywidualności Lassalle'a i Marksa, których proletariat postawił na piedestale swoich największych ideologów: Lassalle'a z powodu siły jego osobowości, potęgi daru agitacji i tragizmu jego życia, Marksa — z powodu potęgi jego idei. Ponadto na swoistość społecznego ruchu niemieckiego wywarła również wpływ mentalność niemiecka oraz charakter narodowy niemiecki.

Niemiec wykazuje doktrynerskie usposobienie, skłonność do teoretyzowania, systematyzowania i schematyzowania. To sprawiło, że mentalność niemiecka wniknęła i przeniknęła zawiły tok myśli marksowskiego systemu, że następnie z dogmatyczną wytrwałością tkwiła przy każdym przyjętym twierdzeniu, stawiając — w przeciwieństwie do praktycznego myślenia angielskiego, wyprowadzającego wnioski z doświadczenia — na naczelnym miejscu zasady.

Opozycyjna partia niemiecka socjaldemokratyczna ustala program swojej działalności, biorąc jako punkt wyjścia wyciąg z naukowego podręcznika socjologii. Na kongresie w Amsterdamie tak scharakteryzował socjalistów niemieckich Jaures:

„Ukrywajcie swą bezsilność pod osłoną nieskazitelnej logiki teoretycznych formułek, których Wam Wasz znakomity towarzysz Kautzky do końca swego życia dostarczać będzie".

Niemcy ponadto w swoim wewnętrznym życiu zbiorowym odznaczają się brakiem rewolucyjności. Nie są pochopni do samodzielnego i krytycznego myślenia w stosunku do władzy, poddają się jej łatwo. Jedyna rewolucja w Niemczech w 1848, z wyjątkiem epizodu Bluma i wypadków badeńskich, przy całej frazeologii rewolucyjnej miała charakter filisterski. Ta sama rewolucja przeraziła liberalny ruch niemiecki ewentualnością czerwonego widma rewolucji socjalnej.

Strach ten nie pozwalał niemieckim stronnictwom liberalnym wysuwać haseł bardziej radykalnych. Na tle tej osobliwej konstelacji partyjnej zrozumiały jest wpływ na ruch socjalny — ogłoszenia w Niemczech w 1867 r. powszechnego równego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego, przekazanego w testamencie Lasselle'a. Spowodowało to dwa następstwa: osłabiło jeszcze bardziej burżuazję, wziętą między dwa ognie: klasę junkrów i proletariat, osłabiło siłę i znaczenie tej klasy, oraz wywołało dalszy rozłam pomiędzy stronnictwami liberalnymi a ruchem proletariatu.

(d. c. n.)

(K.-Z.)

Pewnie. Jabym musiał tak samo uczynić.

— No loos! — w drzwiach stał Hycel.

Wyszliśmy. Na placu nie było już nikogo. Gdzież ta nasza łyżka zupy i kromka chleba, które należały nam się za to, że przez całą prawie dobę pokornie wytężaliśmy strzępy naszych mięśni...?

Pawełek łykał ślinę, a Płaczkowski — o ironio! — płakał. Wyraźnie spływały mu po policzkach łzy. Hycel wepchnął nas do nieużywanej przez nikogo umywalni w baraku B i zamknął drzwi na klucz. Odszedł.

Przez pomalowane na niebiesko szyby umywalni docierało do nas światło reflektorów, malując twarze nasze ohydnym trupim kolorem. Zamknąłem oczy.

— No i co teraz? — odezwał się Płaczkowski, ale Pawełek nie odpowiedział mu. Tadek zdjął marynarkę, rozłożył ją na podłodze i cicho powiedział „dobranoc". Życzyłem mu z całego serca szybkiego zaśnięcia. Sine światło i chłód, panujący w umywalni czyniły myśli moje o dniu jutrzejszym potwornie ciężkimi. Pawełek siedział nieruchomy w kącie na podłodze. Podszedłem bliżej okna.

Na niebieskiej farbie, jaką pokryte były szyby ujrzałem mały jasny punkt, nie wiele większy od główki szpilki. Chciałem przez ten przezroczysty otwór w farbie spojrzeć na dziedziniec obozowy i zbliżyłem do niego oko, ale w tej samej chwili cofnąłem się. Można było ujrzeć tylko szczyt i ramiona Krzyża...

Do rana było jeszcze długo, bardzo długo...

— — — — — — — — — — — — — — —

Wszystkie grupy odeszły już, kiedy Sanitarny otworzył drzwi i kazał nam wyjść. Świtało. Hycla na Appelplacu nie było. Spał pewnie jeszcze. Przy pierwszych drutach stał jakiś cywil w deszczowym płaszczu i żywo rozmawiał z wartownikiem.

Sanitarny zaprowadził nas teraz do baraku i kazał poczekać przy drzwiach a sam udał się w koniec korytarza i po chwili powrócił z Hyclem.

— No... — pytał Hycel, pokasłując.

Mundur miał niezapięty a zamiast butów z cholewami miał na nogach czarno-czerwone pantofle z miękkiej skóry.

— Oni odchodzą... — powiedział Sanitarny.

— Aha — Hycel popatrzył na nas i zakasłał. — Wy odchodzicie?

— Jawohl — zaśpiewaliśmy.

— To idźcie — mruknął i zaczął nas żegnać.

Ja stałem pierwszy z prawej strony, to też i pierwszy dostałem na pożegnanie w głowę. Długo po tym słyszałem w lewym uchu dzwonienie...

Sanitarny zaprowadził nas pod pierwsze druty i odszedł z powrotem do baraku A. Obok nas stał, pogwizdując pod nosem cywil w deszczowym płaszczu. Gestapowiec... czego on tu szuka? czy nas?

Pierwszy wartownik wytrzeszczał na nas gały. Płaczkowski postawił swój woreczek na ziemi. W tym samym momencie popchnięty przez gestapowca w deszczowym płaszczu potoczyłem się naprzód i wyrżnąłem nosem o głowę Tadka.

— Vorwärts... — syknął pies.

Wartownik otwierał wrota. Szkoda, że kiedy cywil pchnął mnie na Płaczkowskiego nie spojrzałem za siebie. Uczynił to jednak Pawełek. Później opowiedział mi on, że z okna baraku A oglądali nasz wymarsz: Hycel i... Ziółkowski.

Na stacji kolejowej paliło się jeszcze światło. Zegar wskazywał godzinę 6.30.

Pociąg, jaki wjechał na stację i zatrzymał się przed nami nie miał ani jednego wagonu bydlęcego. Dziwiliśmy się, kiedy gestapowiec otworzył drzwi przedziału 3-iej klasy i polecił siedzącym w nim niewiastom przenieść się gdzie indziej. Dziwiliśmy się jeszcze bardziej, kiedy Tadek usiadł naprzeciw psa na ławce, a ten nie szczeknął nawet.

Pociąg ruszył. Kiedy wyjechaliśmy z miasta, ujrzeliśmy za oknami grupę obdartych cudzoziemców, dźwigających długie i grube pnie drzew. Na plecach mieli oni żółtą farbą wymalowane litery S.U.—Sowiet Union...

Po 10 minutach jazdy w kierunku wschodnim, pociąg zatrzymał się na stacji Fürstenwalde — Spree. Znajdowaliśmy się na małej stacyjce kolejowej, takiej, jakich setki widuje się w Polsce. Zegar wskazywał godzinę 7.40. Gestapowiec wyprowadził nas na ulicę.

W miejscu, gdzie przechodzi ona w olbrzymi, rzadko zabudowany plac, znajduje się dwupiętrowy budynek, na którym czytamy: Arbeitsamt Frankfurt — Oder — Nebenstelle i Fürstenwalde — Spree tabliczka umieszczona nad drzwiami wejściowymi objaśnia, że budynek leży przy Forst Strasse i oznaczony jest Nr. 61.

Gestapowiec wepchnął nas dosłownie w drzwi. Sam udał się do pokoju. Na ławce pod oknem siedział jakiś Francuz...

— Jeśli myślisz, że Ziółkowski, wysyłając nas tutaj pociągiem osobowym, chce nas jeszcze raz uderzyć, to mylisz się — Pawełek patrzał na mnie. — Czuję, że tym razem zanosi się na dobrą zmianę. Bo zważcie: gdyby miało być inaczej — moglibyśmy już dawno gryźć ziemię. Bronił mu kto?

— Kto wie, może dla nas przeznaczył on miejsce gdzie indziej? — może właśnie tutaj?

* * *

Głośno otworzyły się drzwi wejściowe i ujrzałem oficera policji, ubranego w długi skórzany płaszcz, wycierającego buty o leżącą przy drzwiach słomiankę. — Był to właśnie Ziółkowski...

Spojrzałem na Pawełka: był blady.

— A może... spróbujemy? — zapytał.

— Co? nawiać? ani mi się śni — odpowiedziałem mu zdecydowanie. — Mam dobre przeczucie. Sam przecież mówiłeś przed chwilą, że...

— Tak, ale Ziółkowski...

— Mnie zdaje się, że ma on jakiś plan . . .

— No, mówiąc o nawianiu, myślałem o Tobie...

— E! mnie już, tak to wszystko zmęczyło...

Gestapowiec w deszczowym płaszczu wyszedł do poczekalni, prowadząc

za sobą garbusa gatunku narodowo-socjalistycznego. Garbus rozdziawił gębę:

— Znacie się na robocie rolnej?

Już trzeci raz, w trzech różnych miejscach zapytywano nas o to, aby za każdym razem pchnąć nas za, coraz ostrzejsze, druty kolczaste. Za każdym razem odpowiadaliśmy z zawsze jednakową nadzieją: tak!

Teraz też odpowiedzieliśmy twierdząco. Garbus stwierdził:

— Polska to kraj rolniczy. Miasta są tak małe i nieliczne, że wątpię w to, aby w Fürstenwalde znalazł się choć jeden Polak... urodzony nie na wsi...

Wyszliśmy. Tą samą drogą, jaką przybyliśmy do Arbeitsamtu, powróciliśmy... na stację kolejową. Pawełek spojrzał na mnie oczyma męczennika. Zrozumiałem, co miał na myśli. Dano nam odetchnąć „ersatzem" wolności i pozwolono wziąć udział w małej sztuczce teatralnej, aby później znów pchnąć nas za druty.

Opasły kolejarz postawił przed gestapowcem najzwyklejszy w świecie rower i w jednej chwili Pawełka oblicze rozjaśniło się. Wiedzieliśmy już, że udajemy się na wycieczkę, z której piesek powróci do stacji na rowerze i bez nas...

Świat jest piękny!

A Ziółkowski, kto wie, może ma serce...

ROZDZIAŁ VIII

ŚWIAT JEST PIĘKNY

Przez cały czas szliśmy w kierunku zachodnim. Wychodząc z miasta, dowiedzieliśmy się z drogowskazu, że szosa prowadzi do Münchebergu przez Trebus, Berfelde i Schönfelde i, że w odległości dwu klm. od niej w kierunku wschodnim — znajduje się Mölkenberg, posiadające lotnisko bojowe i obóz Arbeitsdienstu. Gestapowiec prowadził rower, idąc w niewielkiej odległości za nami. Raz nawet spróbował pojechać na nim, ale zeskoczył czym prędzej...

Droga była nieciekawa. Obejrzałem się: drań trzymał wciąż prawą rękę w kieszeni. W miejscu, gdzie droga gwałtownie opada i, gdzie rozpoczyna się po obydwu jej stronach młody lasek świerkowy, Pawełek spojrzał na mnie. Mówił mi oczyma, że gdyby piesek znajdował się przed nami, mógłby przestać szczekać na zawsze...

Naprzeciw nas szedł, prowadząc pod górę ciężki rower, jakiś mężczyzna. W siatce, przerzuconej przez kierownicę srebrzyło się kilka ryb. Do ramy przymocowane były bambusowe kijki, a z tyłu, na bagażniku, znajdował się mały składany stołeczek. Musiała być gdzieś w pobliżu woda.

— Bisschen lustiger, ja...!

Zwiększyliśmy kroki. Droga biegła znów poziomo. Kiedy skończył się

Było jeszcze ciemno, ale po bladnących na wschodniej części nieba, gwiazdach można było spodziewać się słonecznego dnia. Już od kilku dni mieliśmy przecież wiatr wschodni. Kiedy Hycel poczuł głód i kazał przerwać na kilka minut robotę, wszyscy odwróciliśmy twarze ku słońcu. Było wspaniale... Wieczorem po powrocie okazało się, że wszystkie inne grupy już od pół godziny znajdują się w obozie.

Natychmiast po oczyszczeniu butów zarządzono zbiórkę na „appelplatzu". Krzyż był wolny.

Pawełek udając się na swoje miejsce, przeszedł blisko mnie i wcisnął mi do ręki dwa suchutkie złote ustniki od „Privat". Ukryłem je szybko. King-Konga nie było dzisiaj. Napewno „występował" we Frankfurcie albo Oranienburgu.*)

Zapalono wszystkie reflektory i z baraku sanitarnego wyskoczył Hycel. Zabrawszy się do przeglądu naszych szeregów, zwolnili tempo. Pierwszym, który dostał od niego w twarz — był Płaczkowski, drugim ja, a trzecim Pawełek. Nikt poza nami nie oberwał od niego tego wieczoru...

Skończywszy przegląd i rozstawiwszy szeroko nogi, oświaczył, że ci, których nazwiska wyczyta otrzymają swoje porcje żywnościowe na końcu. Wyciągnął z kieszeni marynarki ćwiartkę papieru i po chwili przeczytał:

— Fünf-undsiebzig!

Tadek zawahał się przez chwilę, ale pchnięty przez swego sąsiada podszedł równym krokiem na środek podwórza, zatrzymał się w odległości pięciu mtr. od Hycla, ściągnął zgrabnym ruchem furażerkę i krzyknął przepisowo głośno:

— Jawohl!

Hycel znów pochylił się nad papierem:

— Hundertsieben!

Cóż się dzieje? Teraz powinien wywołać mnie...

Pawełek wyskoczył z szeregu i, zatrzymując się obok Płaczkowskiego, trzasnął butami, ściągnął furażerkę i ryknął:

— Jawohl!

— Vierundsiebzig!

Nie wiem, jak znalazłem się obok Pawełka, jak wypowiedziałem „Jawohl", jak później uczyniłem w lewo zwrot i pomaszerowałem za towarzyszami do baraku 3.

* * *

Przyszedłem do siebie dopiero, kiedy Sanitarny zażądał odemnie opaski z moim numerem 74 i kiedy rzucił mi pod nogi moje „prywatne" łachy, pomięte i wilgotne. Kiedy Pawełek odwrócił się, aby dyskretnie podrapać się w ucho (widocznie ukąsiło go „coś"). Sanitarny wymierzył mu porządny policzek. Pawełek poczerwieniał lekko, ale natychmiast stanął na baczność i ryknął „jawohl".

---

*) Jeden z więźniów podsłuchał rozmowę Hycla z Sanitarnym, z której wynikało, że King-Kong jest „opiekunem" obozów w Oranienburgu i Słubicach. — przyp. autora.

3*

PRZYPOMINAMY

Ile kosztuje jeden generał?

Prasa opozycyjna ostatnio podała dokładny wykaz całkowitego wyposażenia Romana Góreckiego, prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego i jednocześnie prezesa sanacyjnej Federacji Obrońców Ojczyzny.

Poprzedni prezes tej jednej z najpoważniejszych instytucji państwowych, p. Steczkowski pobierał „tylko" 2.500 zł. pensji miesięcznej i 20.000 zł. tantiem w ciągu roku, a więc ogółem około 50. tys. złotych.

Sumka jak widzimy wcale poważna, tymbardziej skoro uwzględnimy, że są to pieniądze ogółu obywateli — pieniądze podatkowe. Jednak gen. Góreckiemu, mianowanemu na tym stanowisku, jak się sam on wyraził: „rozkazem marsz. Piłsudskiego i rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej", suma ta wydawała się znacznie za małą.

Wyznaczył więc sobie: pensję miesięczną w kwocie 5.600 zł. i tantiem rocznych w sumie 50.000 zł.

Mało tego: kazał zakupić dla swego własnego użytku nową limuzynę najdroższej marki „Lincolna" za sumę przeszło 7 tys dolarów i — co najciekawsze — przyznał sobie i pobrał skromną kwotę 12 tys złotych za... godziny nadliczbowe.

Nie znamy budżetu Federacji Obrońców Ojczyzny i nie możemy stwierdzić wysokości diet jej prezesa w czasie częstych rozjazdów po kraju i zagranicę.

Ale stwierdzamy, że p. Górecki z samego B. G. K. pobrał w ciągu roku kolosalną sumę 200 tys. złotych, zaś koszta administracyjne tej instytucji wzrosły w okresie rządów p. Góreckiego z 5 do 16 milionów złotych.

Jakim policzkiem, wymierzonym elementarnemu poczuciu uczciwości, jest te 200 tys. złotych, pobieranych przez „radosnego" p. Góreckiego z krwawicy podatkowej, niech świadczy takie zestawienie:

Dniówka tkacza łódzkiego wynosi według urzędowych danych 8 zł. 2 gr., prządki 5 zł. 35 gr., robotnika podwórzowego 4 zł. 46 gr. Całomiesięczny więc zarobek tych robotników wynosi 213,2 zł., 139 zł., roczny zaś 2556 zł. 1690 zł. i 1392 zł.

Przypatrzmy się dobrze, zapamiętajmy ten stosunek zarobków forsownie pracującego przez cały tydzień robotnika Łodzi i „radosnego" p. generała Góreckiego z epoki „moralnej sanacji":

generał Górecki pobrał 200.000 zł.
robotnik łudzki — 1392 zł.
a więc:

p. Górecki bierze z pieniędzy publicznych 144 razy tyle co robotnik.

(„Pobudka" nr. 27. r. 1930)

19 — 23 — 29 czerwca

Te trzy daty skupiają całą uwagę człowieka myślącego o sprawach politycznych.

19 czerwca — upływa 2 tygodniowy termin, w którym na żądanie senatorów z centrolewu ma być zwołany Senat.

23 czerwca — kończy się okres 30 dni, na które pan prezydent odroczył sesję nadzwyczajną Sejmu, zwołanego, na żądanie posłów opozycji, ale nie otworzonego w terminie zwołania.

29 czerwca — odbędzie się w Krakowie wielki Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu.

Tak więc ta ostatnia dekada czerwca budzić musiała powszechne zainteresowanie. Mają się bowiem i muszą w dwu pierwszych datach ujawnić plany Piłsudskiego w stosunku do Sejmu. W dniu 29 czerwca zostanie zmobilizowana opinia publiczna do walki z tymi planami, a Piłsudski otrzyma jasną i niedwuznaczną odpowiedź demokracji na swe posunięcia.

Krótki już czas dzieli nas od pierwszej daty. Jeśli prawdą jest to, co głosi plotka, to już 19 czy 20 nastąpi rozwiązanie Sejmu i Senatu. Pan Prezydent jedzie w tym czasie na Wileńszczyznę, przyjmować czołobitności, a tu w Warszawie załatwi się sprawa rozwiązania Izb Ustawodawczych. Powiadają też, że poto właśnie wrócił do rządów p. Składkowski, jako wprawny już minister spraw wyborczych.

Tylko z tymi wyborami to gorzej. Sanacja boi się ich. Chciałoby jej się „porządzić" bez wyborów, bez Sejmu. Zdaje się jej, że uniknie w ten sposób zdawania rachunków. Marzy się też jej taka zmiana ordynacji wyborczej, jakieś wykrawanie okręgów w ten sposób, by wyborców oddać pod opiekę starostów. Jednym słowem szukają sztuki, która pozwoliłyba im jeszcze trochę posiedzieć u rządów.

19 czy 23 czerwca dowiemy się, jaki sposób wybrał Piłsudski, aby przedłużyć swe rządy.

(„Pobudka" nr. 27. r. 1930)

Pan Górecki i jego pociotki

Pan Górecki, pobierający ładną sumkę 200.000 zł. rocznie wykazał wielkie cnoty rodzinne.

Została niedawno opublikowana lista nowych pracowników Banku przyjętych za czasów rządów p. Góreckiego, a będących kuzynami, krewnymi i powinowatymi pana generała, lub kogoś z pośród dygnitarzy sanacyjnych. Widać z tego, że pan generał dba o rozwój i pomyślność bliższej i dalszej rodziny.

Ale możeby to robił z pieniędzy, które sam otrzymuje? Przecież dość chyba sam bierze! A tak to jakoś szpetnie wygląda. Przepisy mówią o tym, że nie można członków rodziny zatrudniać w charakterze pracowników i kierowników jednej i tej samej instytucji rządowej i samorządowej.

Tylko p. generała mało obchodzi zarówno przepis, jak i moralność publiczna.

Rodzinka wije sobie ciepłe gniazdko pod opieką p. Góreckiego.

(„Pobudka" nr. 28. r. 1930)

Pani ministrowa też jeździ...

Znana jest szeroko żyłka automobilowa pana ministra Sławoj-Składkowskiego. Mniej natomiast wiadomo o takimż zamiłowaniu szanownej małżonki p. ministra. I nie zwrócilibyśmy na to nawet uwagi, gdyby nie zdarzyło się obserwować jak pani ministrowa w pięknym, najnowszej marki aucie jeździ sobie po Warszawie.

Auto to jest jak nas informują własnością państwową. Bardzo piękne, bardzo drogie auto. Złożyły się na nie grosze podatkowe może setek robotników i chłopów. Czy ono powinno służyć dla prywatnego użytku?

To pytanie zadajemy p. ministrowi. Niechaj je sobie zada także każdy podatnik polski.

(„Pobudka" nr. 28. r. 1930)

Kupon nr 5

na okładkę do powieści „POBUDKI"

(wyciąć i zachować)

ZE ZLOTU



Przeszło 10 tysięcy uczestników wzięło udział w dorocznym Wojewódzkim Złocie OM TUR i Robotniczych Klubów Sportowych w Helenowie (Łódź).



W loży honorowej zasiedli: przewodniczący
członek CKW PPS i sekretarz wojewódzki
cący KC OM TUR tow. Ryszard



Tysiączne rzesze w skupieniu słuchają przemówienia tow. min. Osóbki-Morawskiego.

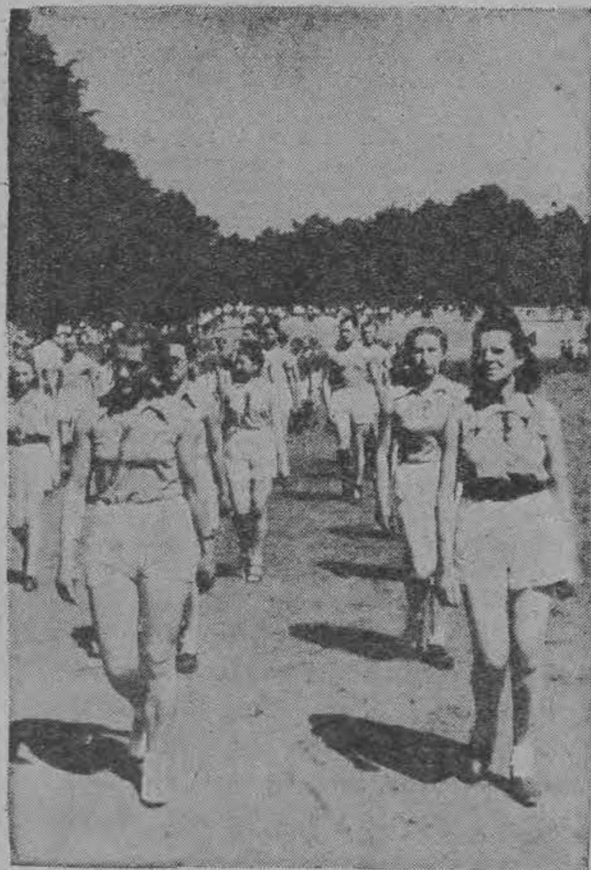


Po defiladzie odbył się turnie
ny moment pod



...KKW PPS tow. min. Osóbka-Morawski,
...ki tow. Henryk Wachowicz, przewodni-
...Obuszka i tow. min. Jan Stańczyk.

OM TUR w Łodzi



Sekcja kobieca RKS TUR — Łódź, defiluje przed trybuną.



...sportowy. Niebezpiecz-
...bramką...



OM. TUR-owcy w barwnych strojach regionalnych — grupa chłopców i dziewcząt z łowickiego.

NASZ KONKURS 22)

Poniżej drukujemy 22 skolei odcinek naszego Konkursu. Przypominamy, że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród jest nie tylko trafne rozwiązanie, ale i punktualne nadesłanie rozwiązania do redakcji.

Termin nadsyłania rozwiązań Konkursu nr 22 upływa z dn. 22 czerwca br. Rozwiązania z datą stempla pocztowego późniejszą — nie będą brane w rachubę.

W rozwiązaniu podać trzeba — przypominamy jeszcze raz — tytuł książki z której fragment został zamieszczony, nazwisko autora, oraz własny dokładny adres i nazwisko.

...Dymy zwiewane powietrzem, rzedły i wreszcie opona ich przerwała się nad miastem. W tej samej chwili jakiś głos okropny i przerażony począł krzyczeć z baszty:

— Nad bramami białe chorągwie! Poddajem się!

Usłyszawszy to — żołnierze, oficerowie, zwrócili się ku miastu. Straszliwe zdumienie odbiło się na twarzach, słowa zamarły wszystkim na ustach i przez smugi dymu patrzyli ku miastu.

A w mieście na bramie Ruskiej i Lackiej, powiewały istotnie chorągwie, dalej widać było jeszcze jedną na baszcie Batorego.

Wówczas twarz małego rycerza stała się tak białą, jak te chorągwie, kolebiące się na wietrze.

— Ketling, widzisz? — szepnął, zwracając się do przyjaciela. Ketlingowi twarz także pobladła.

— Widzę — rzekł.

I czas jakiś patrzyli sobie w oczy, mówiąc nimi wszystko, co mogli sobie powiedzieć tacy dwaj żołnierze bez plamy i bojaźni, którzy nigdy w życiu nie złamali słowa, a którzy przed ołtarzem przysięgli wpierw zginąć, niżby mieli zamek poddać. I oto teraz, po takiej obronie, po takiej walce, która zbaraskie dzieje przypominała, po odbitym szturmie i po zwycięstwie, kazano im złamać przysięgę, wydać zamek i żyć.

Jak niedawno złowrogie kule przelatywały nad zamkiem, tak teraz złowrogie myśli przelatywały im tłumem przez głowę. I żal ściskał im serca poprostu bezmierny, żal dwóch kochanych istot, żal życia i szczęścia, więc spoglądali na się, jak błędni, jak martwi ,a czasem zwracali wzrok pełen rozpaczy ku miastu, jakby się chcąc przekonać, czy ich oczy nie zwodzą i czy istotnie godzina wybiła.

A tymczasem od strony miasta zatętniały kopyta końskie i po chwili wpał Horaim, rękodajny młodzian pana generała Podolskiego.

— Rozkaz do komendanta — krzyknął osadzając bachmata.

...Wziął rozkaz, przeczytał go w milczeniu i po chwili, wśród grobowej ciszy, ozwał się do oficerów:

— Mości panowie. Komisarze przejechali czółnem rzekę i już udali się do Dłużka dla podpisania ugody. Za chwilę będą tędy wracać... Do wieczora mamy wyprowadzić wojsko z zamku, a białą chorągiew zatknąć nie mieszkając...

Nikt nie ozwał się słowem. Słychać było tylko szybkie oddechy i sapanie. Wreszcie Kwasibrodzki przemówił:

— Trzeba chorągiew zatknąć. Ludzi zaraz zgromadzę...

Wnet tu i owdzie rozległy się słowa komendy. Żołnierze poczęli się zwierać w szeregi i brać na ramię broń. Dźwięk muszkietów i miarowe ich stąpanie budziły echa w milczącym zamku.

Ketling przysunął się...

— Czas? — spytał.

— Czekaj na komisarzy, dowiemy się kondycyj... Wreszcie, ja sam tam zejdę.

— Nie, ja zejdę, ja lepiej lochy znam i wiem, gdzie co jest. Dalszą rozmowę przerwały im głosy, wołające:

— Komisarze wracają. Komisarze wracją.

Jakoż po niejakim czasie, trzej nieszczęśni wysłannicy ukazali się na zamku. Byli to: sędzia podolski Gruszacki, stolnik Rzewuski i chorąży czernichowski, pan Myśliszewski. Szli ponuro, z pospuszczanymi głowami, — na grzbietach ich mieniły się kaftany, które w darze od wezyra dostali.

...Czekał ich oparty o ciepłe jeszcze i dymiące działo, skierowane ku Dłużkowi. Wszyscy trzej powitali go w milczeniu, a on spytał:

— Jakie kondycje?

— Miasto nie będzie rabowane, mieszkańcom życie i mienie zapewnione. Każden, kto nie zechce zostać, ma prawo wyjść i udać się, gdzie mu się będzie podobało.

— A Kamieniec?

Komisarze pospuszczali głowy:

— Na sułtana... po wieki wieków...

Poczem komisarze odeszli, nie ku mostowi, bo tam już tłumy ludzi zawaliły drogę, ale w bok przez południową bramę.

Zeszedłszy na dół, siedli w czółno, którym do Lackiej bramy mieli dojechać...

W nizinie, leżącej między opokami wzdłuż rzeki, zaczęli się już pokazywać janczarowie. Z miasta napływały coraz większe fale ludu i zajęły plac naprzeciw starego mostu. Wielu chciało biec na zamek, lecz wychodzące regimenta powstrzymały ich z rozkazu małego rycerza.

Ów, sprawdziwszy wojsko, przywołał pana Muszalskiego i rzekł mu:

— Stary przyjacielu oddaj mi jedną przysługę:

Idź do żony i powiedz jej ode mnie...

Tu głos uwiązł na chwilę w gardle małemu rycerzowi.

— I powiedz jej ode mnie: Nic to — dodał prędko.

Łucznik odszedł. Za nim wychodziło powoli wojsko.

...Siadł na konia i czuwał nad wymarszem. Zamek opróżniał się, ale marudnie, z przyczyny zawadzającego gruzu i złamów.

Ketling zbliżył się do małego rycerza.

— Schodzę — rzekł zaciskając zęby.

— Idź, jeno zwlecz, póki wojsko nie wyjdzie... Idź... Tu wzięli się w ramiona i przez pewien czas tak, trwali. Oczy obydwom błyszczały nadzwyczajnym światłem... Ketling skoczył wreszcie w kierunku lochów...

Mały rycerz zaś zdjął hełm z głowy, chwilę spoglądał jeszcze na tę ruinę na to pole chwały swojej, na gruzy, trupy, odłamy murów, na wał i na działa następnie podniósłszy oczy w górę, począł się modlić...

Ostatnie jego słowa były:

— Daj jej Panie Boże moc, by zaś cierpliwie to zniosła, daj jej spokój...

W tej chwili zakołysały się bastiony, huk straszliwy targnął powietrzem: blanki, wieże, ściany, konie, działa, żywi i umarli, masy ziemi — wszystko to porwane w górę płomieniem pomieszane zbite jakby w jeden straszliwy ładunek, wyleciało w powietrze...

Ale później wszyscy muszą zabrać się do szybkiego szorowania podłogi. Jeśli King-Kong zdąży „przejrzeć“ pozostałe izby, a wiadra napełnione wodą nie będą stały na swoich miejscach i podłoga nie będzie sucha, to wtedy może być gorzej... —

Może być Krzyż..., który jest, bądź co bądź, też przykry, chociaż człowiek zaraz w trzeciej godzinie „ukrzyżowania“ traci przytomność...

W „sztubie“, która jest w ciągu pięciu nocnych godzin — sypialnią, znajduje się oprócz mnie piętnaście osób. Było 18. Odszedł jeden, który przeciął sobie żyły u rąk znalezionym kawałkiem szkła i ten który rozbił sobie głowę o klamkę drzwi...

Obok mnie sypia Nr. 167, Leon, żyd berliński. Jest tutaj już prawie rok. Opowiadał mi on, że krótko przed naszym przybyciem odwiedzili obóz Szwajcarzy z Czerwonego Krzyża. Zwiedzając sztuby dali Leonowi paczkę z sucharami i cygarami. King-Kong był wtedy gładko ogolony i uśmiechał się do każdego więźnia, a Hycel powiedział gościom, że przed stojącym na podwórzu Krzyżem modlą się co niedzielę polscy katolicy... Wszyscy więźniowie otrzymali wtedy od Sanitarnego po ćwierć-kilowej bułce pszennej. A goście odjechali zadowoleni...

W dziesięć godzin później pochowano czterech Polaków. Zjedli otrzymane bułki i umarli... A King-Kong odebrał Leonowi paczkę z sucharami. Żyd zdołał ukryć tylko kilka cygar w sienniku. Mnie dał trzy sztuki.

Jest nas 16-tu. Grupa w jakiej jest Pawełek liczy 18 osób, a Tadka Płaczkowskiego — 15. —

Około godziny 4.45 staje przed każdą grupą czterech SS-manów i zostajemy kolejno wyprowadzani przez dwie bramy obozowe na „teren“. Kto ma ochotę popełnić samobójstwo może to teraz z powodzeniem uczynić. Wystarczy tylko wyjść na krok z szeregu. Nawet bardzo dobra śmierć. Cztery szybkie strzały karabinowe i — po bólu. Ale życie nad ranem jest zawsze takie piękne...

— — — — — — — — — — — — — — —

Zaraz po Tadku ukrzyżowano żyda Leona. Nie wytrzymał... Kiedy odejmowano go od Krzyża, zwłoki jego były już sztywne...

ROZDZIAŁ VII

CZY ZBRODNIARZE MAJĄ SERCA?

Dzień dwunasty września 1943 roku był niedzielą. Niedzielą wyjątkową... Grupa nasza w pełnym składzie 16 osób — bo na miejsce Leona przyszedł do nas z grupy 12-ej szczupły Austriak — nadeszła nierwsza. Mieliśmy, jak zwykle w każdą niedzielę tylko wyładować szwele i szyny.

lasek — ujrzeliśmy w dole po lewej stronie, szeroką na ćwierć kilometra, taflę granatowego jeziora, a po prawej — gładziutką dolinę, pokrytą zielonymi trawami. Dolina położona cośkolwiek wyżej od poziomu jeziora, połączona była z nim mostkiem betonowym. Pod nim spływały widocznie wiosną do jeziora wody, nagromadzone w okresie zimowym w postaci śniegu. Teraz droga zaczynała łagodnie podnosić się. Jezioro było wspaniałe... Patrząc z mostka, nie widziało się jego końca. W dali na środku wody spostrzec można było kilka nieruchomych — jakby zakotwiczonych — łódek.

— Immer weiter!

Nad stromym północnym brzegiem jeziora wyglądał z za drzew pałac ozdobiony wielką szklaną werandą.

Po prawej stronie drogi, obok niskiego i bardzo długiego domku umieszczono żółtą tablicę z napisem „Trebus — Kreis Lebus“. Kilka metrów dalej, po — gęsto porosłej drzewami liściastymi — lewej stronie drogi, zauważyliśmy wąską ścieżynę. Pies warknął na nas, aby zatrzymać się. Tablica umieszczona na potężnym klonie mówiła: „Das Betreten des Guteshofes ist streng verboten — Der Gutsbesitzer Dr Hangen“.

Dr Hangen był właścicielem pałacu. W 10 minut później nasz „opiekun“ łasił się do Hangena na wszystkie możliwe sposoby, wyszczekując co chwilę w różnych tonacjach: „lieber Herr Doktor, lieber Herr Doktor“...

Prostokątne podwórze majątku było dość obszerne. Dwa dłuższe jego boki utworzone były: lewy — przez długą murowaną oborę i dwupiętrowy budynek, za którym znajdował się komin „łódzkiej“ wielkości, a prawy — przez zabudowania stajenne, spichlerz i kuźnię. Dwa krótsze boki utworzone były z jednej strony przez pałac, a z drugiej przez dworskie chlewy i — jak później dowiedzieliśmy się — mieszkania, zatrudnionych w majątku cudzoziemców.

Niedaleko nas zadźwięczał dzwonek, zwykły dzwonek, odzywający się wtedy tylko, gdy jest przez kogoś poruszony i podwórze zaroiło się. Wzdłuż i wszerz przechodzili obszarpani robotnicy cudzoziemscy, niosąc swe narzędzia pracy. Jedni — napewno byli wojskowi — trzymali na ramionach widły albo szufle, drudzy nieśli długie piły i siekiery, inni znów — druciane koszyki. Było śniadanie.

— Patrz... — jęknął Pawełek. Oniemiałem...

W odległości około 50 metrów od nas znajdowała się kuźnia. Przed nią stało dwóch ludzi: Dymowski i Malinowski. Mundur pierwszego z nich był tak samo okopcony jak i twarz, a Malinowski był bosy.

Co to ma znaczyć?

Pawełek podniósł prawą rękę do daszka swej cyklistówki. Uczyniłem to samo i po chwili Dymowski i Malinowski odkryli swe głowy...

— Płaczkowski, Pawełek! — usłyszeliśmy syk gestapowca i odwróciliśmy głowę. Obok Hangena stał teraz lekko zgarbiony drab w czapce narciarskiej i polskich butach wojskowych. Epileptyk — pomyślałem, spoglądając na jego maskę. Pawełek i Płaczkowski stali już przed nim. Z jego parskania, zrozumiałem, że obaj moi towarzysze mają pracować dla dobra państwa niemieckiego i doktora Hangena i, że każda z ich strony próba

ucieczki albo uchylania się od pracy potraktowana będzie, jako sabotaż i zakończona „krótkim procesem".

Kiedy „epileptyk" prowadził Pawełka i Tadka do obór — kończyła się właśnie przerwa śniadaniowa. Hangen pożegnał skomlącego pieska po hitlerowsku. Piesek wyciągnął łapkę i, otrzymane za transport trzech Polaków honorarium, ukrył w głębokiej kieszeni deszczowego płaszcza. Hangen udał się do pałacu.

W chwilę później zauważyłem oblicze jego w oknie: przez dużą lornetkę wojskową obserwował grupę jeńców, ładujących w końcu podwórza na wysokie wozy — ciężki gnój. Gestapowiec stał oparty o rower i ogryzał końce swych paznokci...

Z obory wyszedł epileptyk prowadząc za sobą jakiegoś zgarbionego staruszka. Wskazał ręką w kierunku pałacu i podążył w stronę spichrza.

Staruszek nie miał lewego oka.

Gestapowiec czekał widocznie na niego...

Starzec podszedł do mnie i zapytał:

— Stefan Radzikowski?

W ręku trzymał plik papierów: zauważyłem między nimi moją fotografię.

— Tak.

Starzec wyraźnie uśmiechał się do mnie swym jednym okiem. Był on dobrze po siedmiu dziesiątkach lat pracowitego żywota. Odniosłem wrażenie, że rozmawiam z człowiekiem znającym i pracę i życie. Spojrzałem w kierunku obory. Już nie było nikogo...

Doszedłem za starcem do drogi, jaką niedawno przyprowadzono nas. Starzec znów spojrzał na mnie:

— Nim pojedziemy na miejsce trzeba będzie załatwić wszystko u Ortsbauernführera.

Myślałem o tym jak piękne jest życie i jak piękny jest świat. Chcąc dać starcowi do zrozumienia, że nie powinien oczekiwać odemnie znajomości niemieckiego, wzruszyłem tylko ramionami. Idąc z dworu szosą, w stronę wsi napotyka się po prawej stronie drewniany kościołek, z pochyloną ku południu wierzyczką. Przed gospodą Krygiera — „Krügers Gasthaus" — szeroka droga kończy się. Jedno ramię drogowskazu ustawionego przed samą knajpą — skierowane na zachód — mówi: Janikendorf 4 klm. a wschodnie: Beerfelde 3 klm. Na kamieniu opryskanym wapnem wypisano koślawym gotykiem: Berlin 24 klm. Obok wielkiego budynku murowanego, którego część parteru przeznaczył Krygier, „miejscowy wódz rolników", swym codziennym gościom karczemnym, pozostawiając jednak olbrzymią salę balową dla użytku miejscowych N.S.D.A.P., S.D. i Straży Pożarnej, — znajdowały się po lewej stronie długie zabudowania gospodarcze.

Starzec był pół-ślepy i była dobra okazja do „nawiania". Nie uczyniłem tego z dwóch względów: dusza moja rozkoszowała się zapachem wiejskiej zupy i Ziółkowski vel Grünke był niedaleko...

Weszliśmy do wnętrza.

W chwilę później z drzwi po lewej stronie wyszedł barczysty mężczyzna z czerwoną jak burak gębą, karkiem jak u czteroletniego byka i ramionami, zwisającymi jak u monstrum z Frankensteina.

NA KRZYŻOWYM SZLAKU

Nikt z nas nie wie gdzie jest obóz położony; czy na wschód, czy na północ od Berlina. Wszyscy wiemy tylko, że gdzieś blisko jest Friedrichsfelde, przedmieście Berlina.

Noc trwa pięć godzin... (jeśli nie ma King-Konga, a ten — często wyjeżdża). Przez cały czas chodzą po korytarzu SS-mani, którzy budzą nas o godzinie 4-ej okrzykami „aufstehen". W ciągu dwóch minut każdy musi opuścić swój siennik (są takie), ułożyć swój koc (są takie) po hitlerowsku, wciągnąć swój mundur i buty SS (są takie) i naciągnąć na lewy rękaw małą opaskę z numerem, tak aby pokryć germańskiego orła. Tu nie ma nazwisk.

Baraki posiadają cztery albo pięć izb tak zwanych sztub. W każdej izbie jest ulokowanych 16—18 mężczyzn, 16—18 sienników i koców oraz 2 wiaderka, napełniane co wieczór świeżą wodą. Jeżeli zdarzy się, że przyjedzie z Berlina Adler (przyjeżdża zawsze w nocy), należy oczekiwać wizyty King-Konga. Łotr staje wtedy przy drzwiach ubikacji i każe swym psom zarządzić „austreten", kolejno dla wszystkich izb. Należy wyjść gęsiego — i tylko w koszuli — na korytarz i ustawić się przed ubikacją. Broń Boże, aby ktoś pozostał w izbie. „Austreten" trwa od godziny 1-ej do 2-giej i jest obowiązkowe. King-Kong staje wtedy za drzwiami i wita każdego z nas kopnięciem w brzuch, albo — kiedy jest w lepszym humorze —w plecy. Oczywiście jest zawsze porządnie pod gazem. Na bidecie należy przesiedzieć dwie minuty. Ale to nie jest jeszcze żadna tragedia, gdyż potem można spokojnie spać do rana, tj. do godziny 4-ej.

Gorzej przedstawia się sprawa, kiedy King-Kongowi przypomni się sport: zarządza on natychmiastowe „aufstehen" dla wszystkich izb i ogłasza pół godziny gimnastyki. Wtedy budzi on także i Hyda. Obaj, patrząc na zegarki rozkazują nam w takt ich „eins, zwei, drei, vier", zatańczyć „żabkę". Wiecie jak to wygląda? Trzeba przykucnąć i w tej pozycji w ciągu trzydziestu minut przemierzyć długi na 30 mtr. korytarz baraku, trzydzieści razy tam i z powrotem. Jeden rozbił sobie przy tej okazji głowę o klamkę drzwi klozetowych (nie miał przecież noża przy sobie) a trzech oszalało. Wszyscy oni dostali po dwie kule w głowę...

Jeżeli zdarzy się, że King-Kong przyjedzie z berlińskiego lokalu nocnego w tak zwanym różowym humorze, to wtedy nie jest wcale przykry... Robi tylko cichy przegląd izb i wszędzie wylewa na głowy śpiących wodę stojącą przy drzwiach w wiadrach... Nie jest to przykre, bo są przecież tylko dwa wiaderka i tylko czterech więźniów najwyżej może być mokrych

Za graniczną miedzą

Kein Volk, kein Reich, kein Fuehrer...

Hitlerowcy bardzo lubili operować sloganami propagandowymi. Jednym z najpopularniejszych był slogan: ein Reich, ein Volk, ein Fuehrer (jedno państwo, jeden naród, jeden wódz).

Gdyby chcieć po dwóch latach po zakończeniu wojny sparafrazować ten slogan w sensie odpowiadającym dzisiejszej niemieckiej rzeczywistości, można by powiedzieć „kein Reich, kein Volk, kein Fuehrer" (ani państwo, ani naród, ani wódz).

Spróbujmy przeprowadzić analizę tej parafrazy.

„EIN REICH"

Trzecia rzesza po upadku hitleryzmu i w okresie okupacji czterech mocarstw, formalnie nie istnieje. A okupacja, mimo wszystko zapowiada się jeszcze na długo. Mimo litościwych odruchów anglosaskich mężów stanu w stosunku do Niemców, nie zamierzają oni rychło przerwać okupacji Niemiec. Składa się na to kilka powodów, a więc:

1) Wprawdzie okupacja „kosztuje" i Niemców trzeba żywić, tym niemniej jednak sprawozdania komisji międzyaliancskiej wykazują, że nie jest to znowu taki zły interes, skoro na poczet reparacji wojennych można było z Niemiec wywieźć sporo urządzeń fabrycznych itp.

2) Okupacja Niemiec stwarza możność rozszerzenia anglosaskiej strefy wpływów. Z jednej strony można spróbować przyszłe Niemcy ulepić na swoją modłę i uczynić z nich wykonawcę swoich poleceń i swojego charge d'affaire w tej części Europy, z drugiej zaś strony tutaj, na „neutralnym" terenie mogą działać różne grupy i organizacje, do których otwarcie nie wypada się przyznawać (przykładowo: centrala NSZ-owska w Regensburgu, organizacje jugosłowiańskich zdrajców itp.).

3) Sympatie społeczeństw anglosaskich również nie są po stronie Niemiec. Większość ludzi w Wielkiej Brytanii i USA widzi w dalszym ciągu w Niemcach winnych zbrodni wojennej i okrucieństw w krajach okupowanych. Z tą opinią rządy rzeczywiście muszą się liczyć. (Dowód: odpowiedzi na ankietę w sprawie granic wschodnich Niemiec wśród Anglików).

4) Wreszcie jest rzeczą zrozumiałą, że Anglosasi nie zgodziliby się przerwać okupacji Niemiec, jeżeliby jednocześnie nie uczynili tego Rosjanie. A, jak wiadomo, ZSRR stoi na stanowisku długotrwałej okupacji.

Tak więc Reich formalnie nie istnieje i nie zanosi się na to, ażeby prędko miał się odrodzić. Ale nie tylko formalnie rzesza nie istnieje. Wśród Niemców różnych ugrupowań politycznych obserwuje się bardzo silne tendencje do podziału przyszłych Niemiec na kilka oddzielnych państewek, a zwłaszcza do podziału Niemiec na Niemcy wschodnie i Niemcy zachodnie. Tendencja ta staje się zrozumiała, jeżeli zważymy, że Niemcy, którzy w swojej olbrzymiej większości nie wyrzekli się bynajmniej żądzy odwetu, pragną w ten sposób na Zachodzie stworzyć bazę wypadową na Wschód. Nie mając własnych sił ku temu, pragnęliby się oprzeć na anglosaskiej pomocy dla przeprowadzenia antysłowiańskiej krucjaty.

Trudno więc w takich warunkach mówić o państwie niemieckim.

„EIN VOLK"

Naród niemiecki, ten, który miał być „najczystszym rasowo" szczepem światowym, w myśl obłąkanych teorii rasizmu.

W naszym pojęciu zagadnienie narodu związane jest przede wszystkim z narodowym poczuciem godności. Nie będzie najmniejszej przesady, jeżeli powiemy, że żaden naród na przestrzeni dziejów nie posiadał jej w mniejszym stopniu, aniżeli naród niemiecki w latach po klęsce hitleryzmu.

W Polsce za czasów okupacji niemieckiej, golono głowy kobietom, które obcowały z Niemcami. W Niemczech, wychowanych na guentherowskich teoriach czystej rasy, kobieta niemiecka i jej otoczenie uważa sobie za zaszczyt, jeżeli obcuje z nią okupant. Małżeństwa mieszane amerykańsko- lub angielsko-niemieckie — to szczyt marzeń dzisiejszych Gretchen. Fotografie i opisy tego małżeństwa figurują w całej zachodniej prasie niemieckiej. W jednym z niemieckich pism satyrystycznych niedawno widziałem taki rysunek: Niemka próbuje na ulicy bezskutecznie zaczepić Anglika, czy Amerykanina, który na nią nie zważa. Podpis pod rysunkiem brzmiał: „Oj, niedobrze, zdaje się, że będę się dzisiaj musiała zadowolić Niemcem".

Podobnie dzieje się i na innych odcinkach. Niemcy w każdym sektorze okupacji schlebiają jak mogą, okupantom. Na Wschodzie wymyślają na Anglosasów, na Zachodzie robią „gruelpropaganda" o Rosjanach. Usiłują wkraść się w łaskę za wszelką cenę.

Jednocześnie w stosunku do Niemców są jak najbezwzględniejsi. Osławiona przez hitleryzm jedność narodu niemieckiego wzięła w łeb. O najmniejszej solidarności nie ma mowy. Urzędy państw okupacyjnych zawalone są donosami, częściowo prawdziwymi, a częściowo wymyślonymi. Nawzajem wypominają sobie grzechy z okresu hitleryzmu. Odżyły antagonizmy dzielnicowe. Zwłaszcza znienawidzeni są Niemcy ewakuowani z Polski i Czechosłowacji. Uważa się ich za darmozjadów, nie dopuszcza do posad.

„EIN FUEHRER"

Ein Fuehrer. Niewątpliwie mit Hitlera jeszcze w Niemczech istnieje. Im bardziej krzyczą o tym, że Hitler był „Bluthund" — krwawy pies, im głośniej w rozmowach, zwłaszcza z cudzoziemcami, zapewniają, że to Hitler doprowadził do stanu dzisiejszego, tym głębiej w sercu żywią przekonanie o wodzostwie Hitlera, o słuszności jego ideologii. Jeżeli mają jakiś żal do niego — to nie za okrucieństwa i mordy, nawet nie za wojnę, na której poległo miliony Niemców, ale tylko i wyłącznie za to, że Hitler wojnę przegrał i nie ziściły się ich marzenia panowania nad światem. Prawie każdy Niemiec, jeśli będzie szczery w rozmowie z wami, powie wam: „A jednak za Hitlera żyliśmy dobrze, nie było bezrobocia, był porządek ect." Mit Hitlera więc żyje. Ale Fuehrera nie ma. Nie zastąpią w umysłowości niemieckiej Hitlera plotki o Bormanie, którym zresztą przeważnie nie wierzy się. Wodza nie ma.

Nikt z przywódców politycznych obecnych ugrupowań niemieckich (a rodzą się one, jak trujące grzyby po deszczu ołowiu alianckich samolotów), nie cieszy się większym autorytetem. Nawet Schuhmacher, który w swoich przemówieniach próbuje wygrywać aliantów przeciw sobie i stawia na powszechny w Niemczech rewizjonizm nie zdołał sobie zyskać większego kręgu wielbicieli. Piszemy wielbicieli — nie zwolenników, ponieważ dla autorytetu wodza potrzebne jest uwielbienie. Po Niemczech krążą gadki o złym zachowaniu się Schuhmachera w obozie koncentracyjnym, a fakt ten w dobie pozornej demokratyzacji i denazifikacji, przy rozwiniętym u Niemców poczuciu lojalizmu, nie wróży Schuhmacherowi kariery wodzowskiej. Niemcy są bez wodza.

* * *

Taki jest obraz dzisiejszych Niemiec. Z czołowego sloganu ideologii hitleryzmu „Ein Reich, ein Volk, ein Fuechrer", — nie pozostało nic.

Jerzy Rawicz

Nasz felieton

Moja mała chce mleka

Nie piję mleka.

Nie dlatego, bym miał jakąś awersję do tej białej cieczy, czy uważał, iż zbyt dorosły jestem i zbyt mężczyzna — by parać się tym płynem. Nie!

Poprostu mój wybredny przełyk przyjmuje chętniej inne napoje, a jeśli czasem, ale to tylko w wyjątkowych wypadkach — po jakimś święcie czy imieninach piję już tę mieszankę wody, białka i tłuszczu — to piję ją tylko w stanie, który nazywamy „kwaśnym".

I jeśli ostatnio zainteresowałem się mlekiem, to kłamstwem byłoby, gdyby ktoś chciał twierdzić, iż zrobiłem to na skutek podniesienia cen przez szanowny P. M. S. Kłamstwem jest nawet, że należę do wielbicieli wyrobów peemesowskich, gdyż zbyt mocno cenię swój zmysł krytyczny, by mówić dobre słowa o takim partactwie jakim jest powiedzmy „Perła". Ta „Perła" to nie perła — a ordynarny „bimber" pędzony legalnie, bo przez Państwowy Monopol Spirytusowy, który ostatnio wziął sobie na ambicję i próbuje w jakości swych wyrobów dorównać Państwowemu Monopolowi Tytoniowemu.

Ale — stop! Przecież o mleku mamy rozmawiać.

Więc z tym mlekiem to było tak:

Moja żona — to jest nowoczesna żona. Uważa się za niegorszą od swego męża, twierdzi — iż mąż tak samo jak żona ma w budowaniu tzw. ogniska domowego nie tylko równe prawa, ale i równe obowiązki i dlatego, kiedy otrzymała w początkach tego miesiąca urlop — oręekła, że wyjeżdża sobie do jakiegoś tam uzdrowiska na Dolnym Śląsku, a ja sierota w czasie jej urlopu będę nie tylko pracował jak wół na opłacenie tego uzdrowiska i przyjemności z nim połączonych, ale muszę prowadzić gospodarstwo domowe i zająć się dzieckiem, które w tej chwili jeszcze — ani me! ani be!

No i pojechała [illegible] odwadziłem ją nawet na dworzec, wsadziłem do wagonu, obowiązkowo przy pożegnaniu musiałem jej przyrzec, że nie będę jej zdradzał i — w ogóle, a potem pociąg gwizdnął, ruszył z miejsca, a ja z niemowlęciem na ręku wróciłem do swych domowych pieleszy.

I tu zaczęło się.

Bo chociaż wszyscy mówili, że dzieciak wrodził się we mnie i że do mnie podobny, to upodobanie do napoi mieliśmy całkowicie różne.

A trzeba wam wiedzieć, że ten dzieciak — to córka. I ta córka nie chce nic innego pić tylko — mleko. Ordynarne, zwyczajne, prosto od krowy mleko.

I tu odczułem dopiero jak męska połowa rodu ludzkiego została skrzywdzona przez przyrodę. No, bo żona to sobie z tym mlekiem jakoś tam radziła i dziecko było syte, a żona cała. Tymczasem ja?.. No skąd ja miałem mieć dla tego krzyczącego bez przerwy pędraka mleko?... Skąd?...

Po głębokim namyśle zdecydowałem, iż nie ma żadnego innego wyjścia, tylko trzeba będzie zaopatrywać się w mleko w najbliższym sklepie. Do ręki wziąłem dzbanek, owinąłem go w gazatę, żeby ludzie nie widzieli, iż chodzę do sklepu po mleko, i udałem się na wędrówkę.

W najbliższym sklepie mleka nie było. W najbliższej spółdzielni mleka też nie było. W sklepie na sąsiedniej ulicy spojrzeli na mnie jak na wariata i rozłożyli bezradnie ręce.

Odwiedziłem w ciągu czterech godzin około pięćdziesięciu sklepów. Wszędzie mówiłem — dzieńdobry! wszędzie mi odpowiadano: dzieńdobry! potem pytałem czy mogę dostać pół litra mleka i wszędzie mi odpowiadano: niestety! nie!

Wróciłem do domu z pustym dzbankiem. Na schodach spotkała mię sąsiadka, która ma szalenie zgrabne nogi, takie ładne, bardzo ładne oczy i nie ma męża. Oczywista z sąsiadką, która ma ładne oczy i która nie ma męża należy żyć w przyjaźni i dlatego ukłoniłem jej się grzecznie, a potem zaczęliśmy rozmawiać — początkowo na schodach, a potem w moim mieszkaniu.

Miła sąsiadka wytłumaczyła mi, dlaczego nie można w sklepach dostać mleka. Powiedziała mi, że ona też nie kupuje mleka w sklepie tylko u jednej takiej pani, która produkuje lody „za jedyne dziesięć złotych". Powiedziała mi, że lody, popularne lody, tak modne w letnim okresie pochłaniają takie ilości mleka, iż na rynku mleko stało się produktem trudnym do osiągnięcia i — w ogóle... A potem, jeszcze powiedziała, że ona, doceniając trudną sytuację w jakiej się przez to fatalne mleko znalazłem, może mi pomóc i że, jeśli ją poproszę, to i dla mojej małej mleko się znajdzie.

Już chciałem się zgodzić na tę niespodziewaną i nieoczekiwaną propozycję, kiedy przypomniałem sobie przyrzeczenie, jakie wymuszone zostało na mnie przez żonę, w momencie jej odjazdu i... nie chcąc zdradzać żony — odmówiłem.

Dzieciaka przez resztę dnia karmiłem wodą z cukrem.

Nazajutrz — od godziny szóstej szukałem mleka. Nie znalazłem. Mleko było wykupione przez producentów lodów. I wtedy wpadłem na pomysł.

Przecież jeśli w lodach jest mleko, a oprócz mleka powinien być przecież i cukier i jajka nawet — to dlaczego nie można dzieciaka karmić lodami?...

Na rogu kupiłem dwie porcje lodów i kłusem pobiegłem do domu. Potomek mój darł się już, że na ulicy słychać go było. Na schodach sąsiadki nie spotkałem. Zadowolony z mego genialnego pomysłu podsunąłem małej jedną porcję.

Ale czy to takie wierzgające i krzyczące stworzenie może zrozumieć, że w lodach znajdują się składniki potrzebne mu do egzystencji?... Czy taki pędrak rozumie, że w lodach jest i mleko i cukier i jajka i że taka porcja lodów jest napewno smaczniejsza od mleka matczynej piersi?.... Nie! Nie rozumie! I dlatego, że nie rozumie — nie chciało lizać tych apetycznych, zimnych, smacznych, śmietankowych lodów. Nie chciało i krzyczało w swoim niezrozumiałym dla mnie języku — o mleko. Krzyczało, że chce zwyczajnego, nie koniecznie prosto od krowy i nie koniecznie pełnotłustego mleka i że gwiżdże na wszelkiego rodzaju lody.

Byłem zrozpaczony.

I jestem zrozpaczony.

Bo niby zostało wydane zarządzenie zabraniające sprzedaży lodów w pewne określone dni. Bo niby zostało zarządzone, że trzy dni w tygodniu są dniami „bezlodowymi", a przez cztery dni wolno produkować, sprzedawać i konsumować lody. I nie wiem, czy zarządzenie to zostanie przez różnego rodzaju pokątnych a przedsiębiorczych producentów przestrzegane. Nie wiem. Tak samo jak nie wiem, dlaczego koniecznie w tak trudnych czasach — koniecznie musimy lizać lody po dziesięć złotych, lub siedzieć w chłodni przy porcji lodów śmietankowych, orzechowych, waniliowych czy jeszcze tam jakichś. Czy nie możnaby z tegu luksusu na pewien jeszcze czas zrezygnować zupełnie?...

Bo być może, że teraz będzie łatwiej o mleko. Być może, że nie będę musiał za pośrednictwem sąsiadki odkupywać mleko od kogoś, kto kupuje mleko całymi bańkami od sprzedawców. Ale jeśli te trzy dni „bezlodowe" nie zaspokoją głodu mleka na rynku?...

To wtedy nie tylko będę narażony na to, iż żona zrobi mi awanturę po przyjeździe z urlopu, ale — to jest najważniejsze — moja mała nie będzie miała mleka. A ja wiem, że ona m u s i mieć!

I to: m u s i nie tylko mojej małej, ale wszystkich robotniczych niemowląt — jest obowiązujące!

marek

Podpatrzone i podsłuchane

ZA KULISAMI REDAKCJI

Praca w redakcji pisma codziennego zaczyna się koło godziny dziesiątej. Najpierw wbiega zarumieniona od pośpiechu sekretarka(powinna być o dziewiątej — ale tramwaje się wykolejają, kiedy się człowiekowi śpieszy...) Sekretarki redakcyjne są z zasady młode i ładne — toteż wiele im można wybaczyć.

Za chwilę zjawia się sekretarz redakcji — szara eminencja każdego zespołu we własnej osobie. A potem — gęsiego, reszta.

W ciągu pierwszej godziny omawia się pobieżnie numer, który tego dnia ujrzał światło dzienne, gani redaktora technicznego, (zawsze coś sknoci niecnota!) Potem redakcja pustoszeje.

Zespół działu miejskiego „rozpływa się" po mieście w poszukiwaniu tematów godnych przelania na papier. Redaktorzy działów — politycznego i kulturalnego, odseparowani od reszty, w ciszy i skupieniu opracowują ...w pobliskiej kawiarni mądre felietony i recenzje stylem a la Przyboś, (t.zn. dla czytelnika niezrozumiałym... tego i tak nikt nie czyta.)

Telefony dzwonią jak oszalałe. Jest ich zawsze kilka, w redakcji — ku utrapieniu woźnych, bo szanowny zespół ma zwyczaj załatwiać przy ich pomocy nietylko sprawy urzędowe, ale i rodzinne, czy sercowe.

Grubo po dwunastej przychodzi lokalny spec od sportu, a że imprezy sportowe odbywają się w większości wypadków popołudniu — on zaczyna swą pracę dopiero po godzinie 21-ej. Mała kolacyjka, (tak około dwóch godzin), potem trochę „stuk-puk" na maszynie i około pierwszej po północy materiał jest w drukarni, ku utrapieniu redaktora nocnego czy li technicznego, albo „ciemniaka" — jak go zespół nazywa.

Sportowy — jako że w dzień nie ma nic do roboty — jest, poza pracą dziennikarską, najczęściej dyrektorem fabryki wózków dziecinnych, lub właścicielem sklepu rybnego. (Pensje małe Kochani a człowiek musi przecież z czegoś żyć...)

Godzina trzecia. Na biurku sekretarza redakcji piętrzy się stos ręko — i maszynopisów. Nożyczki pracują jak w szwalni. Kosze na papier rozdęte. Atmosfera przesiąknięta dymem z papierosów. Ostatnie sprawozdanie, biuletyny i notatki. ze ślicznych, na bite trzy, cztery, strony wiadomości (uwaga — proszę — trzy złote od wiersza!) — pozostały smętne resztki... Ten człowiek jest stworzony do skracania. Nie ma odrobiny litości czy respektu nawet dla najbliższych. Widziałem kiedyś jak czytał list od lubej i przynajmniej dwie trzecie skreślił jako tzw. „wodę"...

Nareszcie koniec. Numer gotowy. Krótka narada i ocena ze strony „towncza" (tow. red. naczelnego). Pozostaje kolumna sportowa świecąca pustkami, no ale który naczelny — poważny, starszy, pan — zna się na sporcie? Administracja dołącza ogłoszenia (dyrektorowi administracyjnemu brzuszek z dnia na dzień narasta z radości, że pieniążki płyną) — i cały materiał dzienny wędruje do drukarni, gdzie poczciwe linotypy wiersz po wierszu utrwalają go w ołowiu.

Redakcja pustoszeje. Pozostaje tylko dyżurny (nigdy go nie ma!) Koło piątej przychodzi t. zw. — „wieczorny sekretariat". Jest młody i — „frajer", bo komu by się chciało wieczór w wieczór ślęczyć nad dalekopisami, odbierać depesze zagraniczne, segregować, załatwiać telefony — tyle jest innych przyjemniejszych rzeczy na świecie, a szczególnie w „Halce" i „Fraszce" (Muszę dodać, że zespół dzieli się jeszcze na ludzi o słabej i silnej strukturze fizycznej. Ten właśnie młody człowiek należy do grupy drugiej).

W miarę napływania wiadomości — partiami odsyła się je do drukarni. Ale że wszystko mo swój koniec — więc i dalekopisy milkną koło północy, młody sekretarz redakcji nocnej powraca na „rodziny łono", a woźny wyciąga się na kanapce. Resztę przejmuje redaktor techniczny w drukarni. Jego królestwo to zecerzy, metrampaże, linotypy, punkty, cicera i kwadraty.

Trudno jest silić się na opis nocnej pracy. Primo — za dużo trzebaby używać fachowych i obcojęzycznych wyrażeń (a ja nie piszę przecież „przeglądu prasy zagranicznej"), secundo — to trzeba samemu zobaczyć. Jedno tylko pozostaje niezmienne — tempo, tempo, i jeszcze raz tempo! Każdy kwadrans każde pół godziny musi być dokładnie obliczone i zużyte. Spóźnić się nie wolno. A że to noc i człowieka szybciej opada zmęczenie, redaktor techniczny może się wyładować, wypominając korektorom (oj, ta korekta, korekta) błędy popełnione lub przepuszczone wczoraj, albo te, które napewno „popełnią" dzisiaj.

Materiału jest zawsze nadmiar, a więc pewne artykuły czy notatki tych, z którymi żyje się w najgorszej komitywie — można jeszcze skrócić lub wogóle wyrzucić do t.zw. „zapasu na jutro" w języku dziennikarskim — (czyli nie ukażą się nigdy!) — tylko broń Boże nie wolna zrobić czegoś podobnego z Naczelnym, no bo wtedy...

Jeszcze chwila, ewentualne ostatnie pogawędki telefoniczne — można kalandrować i koniec!

Olbrzymia maszyna rotacyjna za godzinę lub półtorej wyrzuci z siebie cały gotowy nakład pisma.

A gdzieś koło godziny dziesiątej do redakcji wbiegnie zadyszana sekretarka... Za nią sekretarz itd. itd. Z dnia na dzień z miesiąca na miesiąc z roku na rok. Gazeta żyje tylko jedną dobę!

P.S. — Praca w „Pobudce" wygląda podobnie, z tym że jak to normalnie bywa w tygodniku — tempo jej jest o wiele powolniejsze. Redaktor „p. o. naczelny" przez pięć dni nic nie robi, szóstego martwi się i klnie, że ma strasznie leniwy zespół, no a siódmego dnia naprzekór wszystkim „Pobudka" **wychodzi!!!**

Jerzy Krygier.

Kto otrzymał nagrodę

W „Naszym Konkursie" nr 19 drogą losowania nagrody otrzymali:

1. *Brzeska Barbara, Żychlin, ul. Narutowicza 83.*
2. *Józef Mironiuk, Łódź, Ruda Pabianicka — ul. Uroczysko nr 13 m. 4.*
3. *Zdzisław Trojan, Skarżysko-Kamienna, ul. Multanka 12.*

Fragment zaczerpnięty był z książki Marii Rodziewiczówny pt.: „Lato leśnych ludzi".

Redaguje — Komitet
Sekretarz Red. — Sergiusz Jaśkiewicz
Wydaje — Woj. Komitet PPS w Łodzi

Redakcja i administracja: Łódź: Piotrkowska 68, tel. 112-54
skrytka pocztowa nr 7

Godziny przyjęć: redakcji — 10 — 12
administracji — 9 — 17

Prenumerata: miesięcznie — 20 zł.
kwartalnie — 50 zł.

Cena ogłoszeń:
za milimetr — szpaltę 50 zł.
Skład: Druk. „Książka" Druk: Druk. „Czytelnik" w Łodzi.
D-015939



RABANKA

Walka byków

— Wielki człowiek do nas przyjechał! — powiedział do mnie Lufa. Antoś Jamrozikowski, mój cioteczny brat!

— A cóż on takiego wielkiego zrobił?

— Służył w Dąbrowszczakach, sławnej polskiej brygadzie, która hiszpańskich hitlerów naparzała, a teraz się podobnież doczekać nie może, żeby temu draniowi Frankowi knoty sprawić i na zbitą mordę go z Hiszpanii wyrzucić!

Przyjechał do nas wczoraj i obiecał naszym kobietom o walce byków opowiedzieć, która jest sport w Hiszpanii znany, jak nasz boks, albo i sama piłka nożna! Przyjdź Redaktor musowo, bo Blok Demokratyczny naszej kamienicy uroczystą akademię jemu wyprawia!

Oczywiście, nie dałem się długo prosić.

Kiedy przyszedłem, akademia już się rozpoczęła i dwie puste butelki stały na stole, a senior naszego Bloku, ob. Zielonka, odbijał właśnie trzecią.

— Wypij Redaktor za zdrowie tego Hiszpana, któren dla Redaktora zacznie jeszcze raz o tych bykach od początku!

Uścisnąłem dłoń bohatera i trąciłem się z nim większym dalekobieżnym.

— Faktycznie! — zaznaczył ob. Jamrozikowski. Miło jest dziś tę Hiszpanię wspominać i wojaczkę przeciwko hiszpańskiej czarnej reakcji! Już dalibyśmy sobie byli z niemi radę, żeby nie szkopy i musolińszczaki, które popierali Franco. Ale wrócimy my się tam jeszcze kiedyś!

— A my, to wolałybyśmy dalej o tych bykach, z któremi Hiszpanię mecze urządzają! — przerwała obywatelka Zajączko, niezadowolona, że rozmowa zeszła na tory polityczne.

— No cóż! Może być i o bykach! — zaśmiał się Jamrozikowski. — Choć dla mnie byk najważniejszy — Franco się wydaje! Tego by do cyrku wpuścić, a już ja sam chętnie się na ochotnika zgodzę być za espadę!

— Ato znowu co takiego? — spytała zaciekawiona Lufina.

— No, hiszpański język ciut-ciut w niektórych wyrazach do polskiego podobny, tylko trzeba się domyślić. „Espada" znaczy — szpada, czyli majcher, tylko — długi jak pałasz, którem się wymienionego byka dźga z góry przez łeb — pod lewe łopatkie. Od tego narzędzia podobnież specjalista od walki „espada" się nazywa.

— Nigdy bym się na takiego byka nie odważyła! — zawołala otrząsając się trwożliwie obywatelka Zajączko. — Mój dwaj pierwsi nieboszczycy — chłopy były nie ułomni, a nie bałam ich się i dawałam jem rady. Ale z takiem bykiem, to co innego! I jeszcze dźgać go pod łopatkie!...

— Ale pewnie przódzi któś go musi z boku pałą przez łeb przejechać. — spytał Zielonka.

— Ale gdzież tam! Nic podobnego! — zawołał Jamrozikowski. — Obraza by to była sportowa!

— No, a co robią z takim, którego już zaszlachtowali? — spytał ob. Dzwoniec..

— Pewnie, że go za płot nie wyrzucą! Do jatki go wywożą i tam za sztukamięs z kwiatkiem, zrazowkie i pierwsze krzyżowe go rozprzedają.

— No, taki sport, to przynajmniej rozumiem, bo z niego jest korzyść dla narodu! Wydział Aprowizacji miejskiej ma ułatwienie i nie musi się starać o kartkowe przydziały.

— Faktycznie tak jest. A zabawa — swoją drogą! Chociaż ja wolę nasz mecz bokserski, bo mnie tych bydlaków żal! Ale Hiszpanie o te Corridas de Toros aż się trzęsą!

— Jak? Co za „korytarz"? Zaznaczcie wyraźniej, bo nie zrozmiałem — spytał Zielonka.

— „Corridas de Toros" — tak się po hiszpańsku te walki nazywają. A ci, co w nich występują, nazywają się „Toreadores" albo „Toreros". Podobnież są między niemi „Picadores", „Banderilleros", „Capeadores" albo „Czułos". Ale najważniejszy ze wszystkich jest „Espada", któren ostatecznie kładzie byka na obydwie łopatki!

— Jezus Maria! — krzyknęła przerażona ob. Zajączko.

— A jak nie położy? — spytał Lufa.

— O wiele nie położy, to marny jego widok! Wtedy byk ma prawo zadźgać jego rogamy! Ale to się rzadko zdarza!

— Strasznie bym to chciała zobaczyć, takie zawody! — zawołała ob. Zajączko.

— Nic trudnego! Uporamy się najpierw z tym dwunożnym, a już nam towarzysze hiszpańscy tej zabawy nie pożałują! — zaśmiał się Dąbrowszczak.

— A Hiszpanki jakie też są? — zapytał Stachna Oblizajek.

— Odpowiedzialne kobiety! Czarne bronety jedna w drugie. A oczy mają jak aksamit, aż się człowiekowi gładko robi koło serca!

— Zaraz bym na tego Franco pojechał! — wyrwał się z zapałem Lufa.

— Dałabym ci ja! — odezwała się Lufina. — Patrzcie! Hiszpańskiego aksamitu jemu się zachciewa! Mogłeś tam jechać póki byłeś kawalerem, a nie teraz kiedy własne ślubne małżonkie posiadasz!

Ob. Zielonka, widząc że się na małżeńską sprzeczkę zanosi, pospiesznie nalał znowu kieliszki:

— Znakiem tego — pod te byki! Żeby im się dobrze działo!

— Można pod byki, można — pod całe Hiszpanie! Byle nie pod tego drania Kaudiła czyli Franka, któren siedzi mnie na wątrobie, jak zgryzota!

— Podobnież, jak i całej naszej świętej demokracji! — zawołał chórem Blok Demokratyczny naszej kamienicy.

KIEŁ

KWIATKI i KWIATUSZKI

POSTOJ W TROJCY

(js) „Panorama" nr. 24 pisze o otwarciu nowego gmachu ze studiami Polskiego Radia w Gdańsku. Czytamy:

Nowe studio rozgłośni gdańskiej składa się z tzw. amplifikatorni, wielkiego studia obliczonego na 50 osób, studia odczytowego (obitego welurem), studia speakerskiego, postoju reżyserskiego i inspekcyjnego.

Pomijając dziwną tajemnicę trójcy studiów (bo jedno „nowe studio" występuje w trzech postaciach studiów: wielkiego, odczytowego i speakerskiego) — jeszcze mocniej zastanawia „postój reżyserski i inspekcyjny". — Kto tam zatrzymuje się na postój? Czy reżyserzy teatrów wędrownych między jednym objazem a drugim, czy komisje przyjeżdżające na sławojowe inspekcje?

Owszem, w każdej rozgłośni są pokoje reżyserskie (dla reżysera prowadzącego audycję) i pokoje inspektorskie (dla dyżurnego inspektora audycji), ale „postoje reżyserskie i inspekcyjne" są prawdziwą rewelacją.

Przy końcu wzmianki wśród obecnych na otwarciu nowego gmachu rozgłośni gdańskiej — „Panorama" wylicza „Naczelnego Dyrektora P.K.W. Billiga". — Wiemy, że naczelnym dyrektorem Polskiego Radia jest Wilhelm Billig... Nie wiedzieliśmy jednak, że jest on także dyrektorem P.K.W...." No i w ogóle nie wiemy, co to jest P.K.W.?